

SÁNDOR  
MÁRAI



ROZWÓD  
W BUDZIE

CZY  
TEL  
NIK



SÁNDOR  
MÁRAI

\*

ROZWÓD  
W BUDZIE

Przełożyła  
i posłowiem opatrzyła  
Irena Makarewicz

Czytelnik

Tytuł oryginału węgierskiego  
*Válás Budán*

© Heirs of Sándor Márai,  
Csaba Gaal (Toronto)

Okładkę i kartę tytułową projektowała  
Maria Drabecka

Redaktor prowadzący  
Anna Rucińska

Redaktor  
Rozalia Słodczyk

Korekta  
Agnieszka Czerepowicka

Redaktor techniczny  
Hanna Bernaszuk

© Copyright for the Polish translation  
by Irena Makarewicz, 2019

© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2019

ISBN 978-83-07-03449-2

*Za dnia zbudowany, nocą się zawala*

(seklerska ballada ludowa)



# 1

Nastał wrzesień, a przyniósł ze sobą skwarny upał. Któregoś z tych wczesnojesiennych popołudni, kiedy dni wypełnione są jeszcze resztkami żaru kanikuły, Kristóf Kómvics, młody sędzia, studiował w swoim biurze akta spraw rozwodowych.

Jedna z tych spraw szczególnie interesowała sędziego, ponieważ znał – z daleka – osoby w niej występujące. Mąż, bierny i cierpiący bohater rozprawy rozwodowej, której termin wyznaczono na następny dzień, młody lekarz o znanym nazwisku, szef laboratorium jednego ze stołecznych zakładów leczniczych, był szkolnym kolegą Kómvicsa; chodzili razem do niższych klas szkoły średniej, a potem od czasu do czasu spotykali się także przy okazji rozmaitych wydarzeń towarzyskich w życiu uniwersytetu, na balach, na zebraniach. Sędzia zawsze życzliwie myślał o tym koledze szkolnym, cichym i skromnym w obejściu, nieśmiałym w zachowaniu. Teraz, gdy układał dokumenty, postać lekarza stanęła mu przed oczami nadzwyczaj ostro; widział go, jak na którymś z dawno minionych uniwersyteckich bali, mając dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata, stoi w okazałym holu jednego z tych wielkich hoteli i z uśmiechem zakłopotania na twarzy, z niezdarną uprzejmością człowieka nieobezna-

nego z wielkim światem odpowiada na tyle przymilne, co poniżające pytania panów dygnitarzy. W tej grupie stoi też on sam, młody praktykant prawa, i niespodziewanie odczuwa sympatię do zapomnianego, mało sobie znanego kolegi szkolnego. To chwila wybuchającego nagle niczym nieuzasadnionego uczucia więzi. Ale potem, jakby oddzielał ich od siebie jakiś nieokreślony zakaz nie do pokonania, po kilku słowach towarzyskiej konwersacji, z uprzejmie przyjaznym uśmiechem znów tylko się mijają. Te nieporadne, naznaczone niezręcznością próby zbliżeń powtarzają się regularnie; niekiedy on i lekarz spotykają się na ulicy i z uśmiechem radości śpieszą ku sobie; jednocześnie wiedzą, że z tego spotkania znów nic nie wyjdzie, będą jedynie potrząsać rękoma w uścisku i bąkać obojętne słowa, zakłopotani; tak jakby „mówili o czymś innym” – o czymś innym? O czym? Sędzia zamyślił się, stanął przy oknie.

Przez otwarte okno doszedł go z dziedzińca więzienia zgrzyt kół ciężarówki. Usłyszał komendy strażników, a potem hałas wydawany przez jakieś upadające na ziemię ciężkie przedmioty, prawdopodobnie worki, i odgłosy ludzkiej krzątaniny. Okno w jego biurze wychodziło na podziurawioną niewielkimi otworami wentylacyjnymi ścianę ogniową sąsiedniego więzienia; jako podwładny o niższej randze, urzędnik znajdujący się wciąż na początkowym etapie swojej kariery, na razie otrzymał w tym budynku mniej wygodny pokój, taki, w którym latem jest duszno, a w zimowe popołudnia wcześniej robi się ciemno; pomieszczenia wychodzące na ulicę, wygodniejsze i bardziej przestronne, zajmowali naturalnie sędziowie starsi wiekiem i o wyższej randze, a taki właśnie przydział pokoi on sam też uważał za słuszny i odpowiedni. Nisko w dole, na wyłożonym kamieniem dziedzińcu, więźnio-



wie zdejmowali z platformy ciężarówki worki i zarzuciwszy sobie na ramię ciężar, znikali gęsiego za wahadłowymi drzwiami piwnicy. Sędzia pracował w tym pokoju już od trzech lat i codziennie przez kilka minut obserwował życie więziennego dziedzińca; to tam na dół wyprowadzano więźniów na spacer, to tamtędy śpieszyli w godzinach widzeń bliscy aresztowanych oraz osądzonych już więźniów, to tamtędy przechodzili ci więźniowie, których wezwano do budynku sądu na przesłuchanie albo na rozprawę. Ów obraz, ów smutny i monotony świat znał aż do znudzenia, a mimo wszystko nie mijał nawet jeden dzień, żeby przed opuszczeniem biura nie stanął przy oknie i przez jakiś czas nie poprzyglądał się uważnie, jakby raz jeszcze i ciągle od nowa chciał się o czymś przekonać. W codziennym życiu więziennego dziedzińca było coś z przedsiębiorstwa, jakaś przedmiotowość; jak na dziedzińcu fabryki, gdzie w dokładnie co do minuty rozpisanym czasie pracy każdego dnia dzieje się to samo – a to, co się dzieje, może nawet nie jest aż tak straszne i okropne, jak sądziłby ktoś niewprowadzony w te sprawy, lecz raczej tylko smutne i beznadziejne. Z takimi to uczuciami patrzył codziennie przez kilka minut na ścianę ogniową więzienia i na strzeżony żelaznymi drzwiami dziedziniec.

Imre Greiner, doktor Greiner, pomyślał z roztargnieniem. Tak nazywał się lekarz, który teraz miał się rozwieść z żoną. Uważnie przeczytał przed chwilą dane osobowe swojego dawnego kolegi szkolnego, szukał wspólnych wspomnień. Greiner pochodził z Górnych Węgier, z rodziny Zipserów<sup>1</sup>; teraz sędzia stwierdził przy okazji, że le-

---

<sup>1</sup>Zipser (niem.) – Niemiec ze Spiżu (przyp. wyd. węg.). [Początek tego przypisu powinien brzmieć: Węg. *cipszer*, od niem. *Zipser* (przyp. tłum.).]

karz jest od niego starszy o pół roku, w czerwcu skończył trzydzieści osiem lat, a on, choć byli kolegami szkolnymi, osiągnie ten wiek dopiero w grudniu. To stwierdzenie, nie wiedział dlaczego, nieco go zdeprymowało. Ale zaskoczył go również wiek żony: Anna Greinerowa, z domu Fazekas, skończyła już trzydzieści lat. Obliczał i myślał. Teraz, gdy ukazali się z tych akt i stanęli przed nim ludzie z krwi i kości, przypomniały mu się najrozmaitsze rzeczy: również to, że pierwszy raz spotkał się z Anną Fazekas przed dziewięcioma laty, pewnego wyjątkowo ciepłego, wręcz omdlewająco gorącego lata, na korcie tenisowym na Wyspie Małgorzaty; w tamtym czasie ta młoda dziewczyna jeszcze nie mogła znać doktora Greinera, a przynajmniej nic nie było wiadomo o tym, by byli zaręczeni. Pewnego wieczoru podążają razem drogą przez wyspę, w kierunku mostu; on niesie raketę tenisową dziewczyny, Anna Fazekas ma na sobie letnią sukienkę w biało-niebieskie paski, jest ciemno, rozmawiają o wycieczce Dunajem. Nieopodal przystanku kolejki konnej, przy jednej z lamp łukowych dostrzega twarz Anny Fazekas; w słabym świetle widziana z profilu dziewczyna zwraca się ku niemu z uśmiechem, a jej głos jest całkiem aksamitny; ale możliwe, że tę aksamitność, to wahanie się, niedookreślenie w barwie jej głosu tylko sobie teraz, po fakcie, wyobraża. Idą tą drogą we czworo, jest tam jeszcze jedna dziewczyna, przyjaciółka Anny Fazekas, i starszy pan, ojciec tej przyjaciółki. Annę Fazekas mógł przed tym spotkaniem widzieć jedynie dwa, najwyżej trzy razy; wszystko, co o niej wie, to to, że jej ojciec był inspektorem szkolnym na prowincji, kilka lat wcześniej przeszedł na emeryturę, a wtedy przeprowadzili się do Pesztu; dziewczyna zresztą już i przedtem wychowywała się w peszteńskiej szkole z internatem. Anna jest panną na wydaniu, w ostatnim

roku często bywała na balach. O czym też rozmawiali? Nie pamięta słów, ale jeszcze teraz słyszy głos dziewczyny. Potem jakiś czas idą w ciszy, drogą pogrążoną w półmroku. Na jednym z zakrętów przystaje, a dziewczyna natychmiast zwraca się ku niemu, jakby chciała coś powiedzieć. W tym momencie widzi jej twarz ostro, wyraźnie. Dotarli już do mostu; w milczeniu podążają dalej. On następnego ranka wyjeżdża na urlop, w austriackim kurorcie pozostanie cztery tygodnie i wtedy też pozna swoją żonę; ale pobiorą się dopiero po upływie roku. W trakcie tego roku, kiedy już stara się o rękę swojej przyszłej żony i obraca się wśród ludzi, będąc związany czymś na kształt półoficjalnych zaręczyn – nadal bywa w towarzystwie, także w tak zwanych panińskich domach, jednakże zainteresowane mamy i córki, dzięki jakiejś tajemniczej organizacji kobiet, pozyskującej i przekazującej dalej wiadomości, wydają się wiedzieć, że on już się zaręczył – spotyka jeszcze Annę Fazekas. Dziewczyna ma uderzająco kształtną figurę, chyba też jest ładna... Ładna? Sędzia spogląda w dół na dziedziniec, jakby kogoś szukał. Platforma ciężarówki jest już pusta, ostatni dwaj ludzie dźwigający ciężary eskortowani są przez strażnika w kierunku żelaznych drzwi. Nie pamięta twarzy Anny Fazekas.

Uporządkował akta – dokumenty przygotowane na potrzeby procesu odpowiadały przepisom prawa; małżonkowie potwierdzili sześciomiesięczną separację i wystąpili o rozwiązanie małżeństwa wskutek „porzucenia współmałżonka”. Pozostając w pozycji siedzącej, sędzia schylił się, wyciągnął z dolnej szuflady biurka paczkę tanich, ręcznie nabijanych papierosów i wypełnił nimi skórzaną papierośnicę. Z innej szuflady wyjął lepsze jakościowo papierosy z trafiki – te trzymał dla gości, sam zaś zadowalał się tamtymi tańszymi, które nabijano w domu, robiła

to Hertha lub guwernantka – jako że szykował się teraz do wyjścia na spotkanie towarzyskie, możliwe, że będzie musiał kogoś poczęstować; na wszelki wypadek wsunął do papierośnicy także kilka papierosów z pozłacanym ustnikiem. Ten gest nie był całkowicie bezwiedny; poprawiając w jednej przegródce papierośnicy ułożenie papierosów „reprezentacyjnych”, o lepszej jakości, pomyślał, że owe niepozorne, efektowne obowiązki zabierają mu niewielką nadwyżkę pensji, nadwyżkę, dzięki której życie, życie prywatne jego i jego bliskich, mogłoby być chyba trochę wygodniejsze, spokojniejsze i bardziej efektywne ekonomicznie – on sam zadowalał się tanim tytoniem i zadowoliliby się też innym ubraniem, innego rodzaju mieszkaniem, a także prostszymi formami życia towarzyskiego. Papierosy o pozłacanym ustniku dłużny był „światu” – ten tok myślenia znał aż za dobrze, a teraz, gdy te myśli rozbłysnęły w jego głowie, bo ruszał na spotkanie towarzyskie, gdzie będzie się czuł dobrze albo źle, ale gdzie, nieco z obowiązku, znów jednak musi „się zaprezentować”, westchnął lekko i uśmiechnął się markotnie. Westchnął, ponieważ życie i wiele zbędnych obowiązków towarzyskich, które ono ze sobą niosło, odczuwał jako coś obciążającego i bezsensownego; a uśmiechnął się, ponieważ wszystkiego tego i tak nie można było zmienić. Porządnie poskładał dokumenty i rutynowymi, mechanicznymi ruchami zamknął w szufladzie papierosy oraz kilka przedmiotów osobistego użytku: stanowiące jego własność wieczne pióro, lupę, małą buteleczkę zielonego atramentu, którego kolor szczególnie lubił, i zawsze wzbierało w nim poczucie braku, gdy przez zapomnienie woźnego czy jego własne zielony atrament wysechł albo brakowało go na biurku.

Anna Fazekas i Imre Greiner, pomyślał i włożył do

kieszeni klucze. Minęło wpół do siódmej. O takiej godzinie ten wielki budynek był cichy i pusty. Na biurku leżały akta jeszcze czterech innych spraw rozwodowych; wyciągnął jedno z nich, zajął do środka, po czym bez humoru wepchnął je z powrotem pomiędzy pozostałe. Szukał wspomnienia ostatniego spotkania, ale nie pamiętał, kiedy widział Annę Fazekas po raz ostatni. W ostatnich latach sędzia możliwie rzadko bywał „w towarzystwie” – to ciche wycofanie się z pewnością miało swój powód, być może była nim rodzina, być może skromna pensja – ale poza tym wszystkim jakoś przed czasem, w młodym jeszcze wieku zaszył się w swoim urzędzie, w zamkniętym kręgu rodziny; nie lubił o tym myśleć, na dnie owego spostrzeżenia było coś, z czym niechętnie się konfrontował. O zamążpójściu Anny Fazekas dowiedział się z gazet. A potem przez całe lata nic o nich nie słyszał. Teraz przypomniał sobie chwilę, gdy usłyszał, czując niechęć przenikniętą zaskoczeniem, że Imre Greiner, ów Imre Greiner, o którym w dzieciństwie i potem, w latach uniwersyteckich, myślał zawsze serdecznie, z którym z radością by się spotkał i porozmawiał, a z którym, kiedy w końcu czasem się spotykał, nigdy nie umiał porozmawiać, ożenił się z tą znajomą dziewczyną, która... ale tu utknął. Kim była Anna Fazekas, czy ta znajomość kiedykolwiek znaczyła dla niego coś innego i coś więcej aniżeli powierzchowna, bardziej nawet niż powierzchowna i generalnie nieistotna, towarzyska jedynie relacja? Dwu- albo trzykrotnie widział ją na korcie tenisowym, kiedy był jeszcze kawalerem, i z pewnością także później, po ślubie, gdzie się z nią jeszcze spotkał; ale przelotnie, bez przywiązywania do tego wagi, jak z innymi młodymi dziewczętami oraz kobietami, które co prawda znał z opowieści, lecz chyba nawet nie kojarzył dokładnie ich imion. W każ-

dym razie zaskoczyło go, że to akurat ten Imre Greiner ożenił się z tą Anną Fazekas, z którą on sam szedł raz po wyspie, i na pogrążonej w półmroku drodze dziewczyna na moment zwróciła się ku niemu, jakby chciała coś powiedzieć. W końcu jednak nic nie powiedziała. A teraz tu na biurku leżały akta Anny Greinerowej, z domu Fazekas. Tak oto igra sobie życie, pomyślał z roztargnieniem; i zaśmiał się cicho, ironicznie, jakby sam siebie zganił za trywialne stwierdzenie.

Pozew o rozwód złożyła żona, to ona oskarżyła Imrego Greinera o porzucenie; na biurku sędziego leżały akta jeszcze trzech przypadków „porzucenia współmałżonka”; sędzia spoglądał nieprzychylnie na pliki dokumentów. Gdyby chodziło o sprawy karne, z pewnością zaprotestowałby przeciwko zleceniu, by wydawać wyrok w sprawie znajomych, choćby nawet takich dalekich, obojętnych znajomych, do jakich należał jego dawny kolega szkolny; ale materiał przedstawiony sądowi spełniał niezbędne wymogi procesu rozwodowego, więc jeśli po drodze nic się nie wydarzy, a wezwanie do pojednania nie przyniesie rezultatu, jutro w południe na mocy prawa rozwiąże małżeństwo Imrego Greinera i jego żony Anny, z domu Fazekas. Ta okoliczność, że znał uczestników procesu rozwodowego, naturalnie nie stanowi powodu, by miał poprosić kogoś innego o przeprowadzenie rozprawy. Ponieważ uporządkował wszystko na biurku, a też zrobiło się późno, raz jeszcze rzucił okiem w dół, na dziedziniec więzienia, i przekonawszy się, że nikogo już tam nie ma, wzięął kapelusz i opuścił swoje biuro, powolnym krokiem podążając krętymi korytarzami dużego gmachu, po którym poruszał się tak swobodnie jak po domu. Na klatce schodowej pożegnał go stary portier: uprzejmie, choć nieco familiarnie; ta ledwie wyczuwalna po-

ufałość, której ktoś obcy najprawdopodobniej wcale by nie zauważył, młodemu sędziemu rzucała się w oczy za każdym razem, gdy wchodził do budynku albo go opuszczał. Trochę raniła ona jego młodzieńczą godność, ale jednocześnie sprawiała mu też przyjemność; podwładny, leciwy urzędnik w taki właśnie sposób pozdrawia sędziego, człowieka o znacznie wyższej randze i zupełnie innej pozycji społecznej, lecz mimo wszystko robiącego karierę w ramach tej samej rodzinnej struktury, która każdemu tę rangę wyznacza; i on rozumiał tę poufałość, to uprzejme obchodzenie się z nim po ojcowsku, więc zachował dostojność, a zarazem przymilnie skinął głową, bo również ten stary, wywodzący się z chłopstwa portier należał do owej wielkiej i skomplikowanej rodziny, której on sam, sędzia, był tylko jednym z szacownych i obiecujących członków... Przystanął w bramie, wskazówkę w swoim zegarku na rękę ustawił zgodnie z zegarem na klatce schodowej. Pomyślał o dziedzińcu więzienia, o dokumentach na biurku, o poprawnej i mimo wszystko zażyłej, silnej poufałości, za sprawą której czuł się bezpiecznie ukryty pośród sędziów oraz urzędników i woźnych; i jak często bywało wcześniej, tak i teraz wychodził stąd niemal z żalem, wahając się i ociągając, jako ostatni spośród sędziów – opuszczał miejsce pracy z ubolewaniem, jakby nie miał do tego chęci, podobnie jak zakonnik przekracza bramę klasztoru i wychodzi w świat, wahając się i ociągając. To uczucie, którego sensu także i w tym momencie nie umiał wyjaśnić inaczej niż jako efekt paniki, jaką wywołuje bezpodstawny strach przed światem, zastanowiło go. Zatrzymał się na górnym stopniu schodów w bramie i rozejrzał się niepewnie. Portier zamknął za nim ciężkie dębowe drzwi wejściowe i przekręcił klucz.

## 2

Zaproszenie opiewało na spotkanie będące czymś pomiędzy popołudniową herbatą a kolacją – żartobliwie, w modnym miejskim dialekcie nazywano takie przyjęcia *ucsorami*<sup>1</sup>. Zaproszeni przybywali jeszcze przed porą kolacji, pomiędzy godziną siódmą a ósmą, domownicy zaś podejmowali ich herbatą, kawą, winem i półmiskami pieczystego na zimno; ale tego rodzaju spotkanie przy niewielkich stołach, przy zachowaniu swobody co do momentu przyścia i wyjścia, przeciągało się czasem nawet i do późnych godzin nocnych. Takie niezobowiązujące zaproszenie naturalnie oznaczało dla gospodarzy ułatwienie i mniej obciążające służenie gościom aniżeli staroświecka, „poważna”, uroczysta kolacja; a jako że czasy narzuciły hasło oszczędzania, klasa średnia – zatrudniająca na potrzeby całego domu tylko jedną służącą, popadająca w troski i zmuszona sposobami bliskimi brawury jakoś sobie radzić i wyżyć z obniżonej emerytury bądź oskubanej pensji, strzegąca towarzyskich pozorów „pańskości” oraz stosownej, acz kurczącej się wytwor-

---

<sup>1</sup> Węg. *ucSORa* – posiłek podawany wczesnym wieczorem; określenie powstałe ze złożenia elementów dwóch węgierskich terminów: *uzsonna* (pol. podwieczorek) oraz *vacSORa* (pol. kolacja) i używane w języku węgierskim od początku XX wieku (przyp. tłum.).



ności, w swej patriotycznej samoświadomości klasowej twardo i cnotliwie trzymająca się razem klasa średnia panów – za pomocą takich właśnie pionierskich rozwiązań starała się zachować, nieco je modernizując, dawne formy nadające kształt życiu. Kőmivesowie sami też już gościli przyjaciół na tego rodzaju skromniejszych ucsorach, zastępujących dawniejsze bogate uczyty nowoczesną skromnością i bezpretensjonalnością – mimo wszystko ten odmienny sposób goszczenia pozwalał zaoszczędzić na kosztach oraz zmniejszał trud domowników i dziewczyny do wszystkiego, tyrającej w służbie rodziny. Podążając na spotkanie, sędzia myślał o tym, jak bardzo wszystko się rozpadło i przekształciło w tych latach, także formy współżycia społecznego. Znał i lubił tę skromną klasę średnią panów, której był członkiem; odbierał ją jako jedną wielką rodzinę, w jej zwyczajach społecznych dostrzegał mit rodziny, gust tych ludzi był jego gustem, i zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym czuł się odpowiedzialny za ich dobrobyt i bezpieczeństwo.

Szedł nieśpiesznie przez most, w kierunku Budy; zdjął kapelusz, kroczył rozważnie, a kto go zobaczył, jak z rękoma splecionymi za plecami, z tułowiem nieco pochylonym do przodu, z wzrokiem wbitym w ziemię, powolnym i nieuważnym krokiem podąża wśród wieczornych przechodniów, śpieszących się w drodze z pracy do domu, mógł pomyśleć, że jest starszy, niż wynikało to z jego metryki. Kristóf Kőmives wcześniej zaczął siwieć, a w ostatnich latach, odkąd awansował i, można by rzec, całe dnie spędzał bez ruchu, w pozycji siedzącej, także przytył. Niepokoił go ten stan fizyczny. W duchu gardził wszelkim zaniedbaniem, również wynikającym z wygody zaniedbaniem kondycji ciała – skłaniał się bowiem do gloryfikowania ascetyzmu, z życzliwością obserwował i pochwalał

modne sposoby ćwiczeń fizycznych i w ogóle był zdania, że kto przesadnie ulegnie komfortowi i potrzebom cielesnym, ten opuści się także duchowo, obrośnie tłuszczem również intelektualnie. Właściwie nie był jeszcze tęgi i, z grubsza rzecz biorąc, żył, zachowując umiar, powściągał się w jedzeniu i piciu; lecz od kilku lat zapanował w jego organizmie ów rozpad, owo poluzowanie, które śledził podejrzliwie, nieco nim gardził i od czasu do czasu z nim walczył – postanowieniami, zmianą stylu życia. Oczywiście nie znalazł się jeszcze w takim punkcie, by zdecydować się na którąś z modnych kuracji odchudzających; coś takiego uważał za zniewieściałe, niegodne. Ale złapał się na tym, że owa kwestia, kwestia własnego stanu fizycznego, zajmuje go. Wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości, wydawał się ustatkowanym, czterdziestoletnim dżentelmenem, który mocno siwieje na skroniach i dorobił się już pokaźnego brzucha. O tym stanie fizycznym czasem nawet rozmawiał ze swoimi przyjaciółmi, oczywiście tylko żartobliwie: „Pokaźny brzuch to pokaźny autorytet” – powtarzali, a i on sam czuł, że ciałem starał się wyrazić autorytatywność, za pomocą której chciał w pewien sposób zrekompensować swój młody wiek; postawą, wyglądem, sposobem mówienia, stylem życia podkreślał własny autorytet mieszczanina o wyższym statusie oraz sędziego; ale w sumie jednak musiał przyznać, jeśli chciał być szczery, że w ostatnim czasie zrobił się nieco zbyt wygodny. Ten proces był skomplikowany, a zajmował sędziego dogłębniej i więcej razy, niżby tego pragnął. Swojej skłonności do tycia nie uważał za „świadectwo dobrego humoru” – takie kształty ciała osiągnął trochę za szybko, chyba przed czasem, jak wszystko w swym życiu, pierwsze etapy w „karierze”, kłopoty rodzinne, ustatkowanie się i także autorytet. Co kryło się

na dnie tego pośpiechu? Czasami, w mgliście niespokojnych chwilach, myślał, że być może śmierć; jakieś głębokie, ukrywane, z pewnością nie „moralne” pragnienie śmierci albo strach przed nią – a od jakiegoś czasu niekiedy sądził, że są one tym samym. To „od jakiegoś czasu”, w osobliwym kalendarzu życia prywatnego, liczyło się właściwie od pewnego, dobrze zresztą określonego momentu; od momentu, gdy przed półtora roku, pomiędzy dwiema rozprawami, w przerwie, po raz pierwszy poczuł dziwne zawroty głowy, które potem powtarzały się w niedających się wyliczyć ani przewidzieć odstępach czasu. Te zawroty były przerażające, straszne i kompromitujące; było w nich coś poniżającego, coś naruszającego godność; nie pasowały ani do sędziego, ani do mieszczanina o wyższym statusie i Kristóf Kőmives w sekrecie, na dnie duszy, z ich powodu gardził sobą. Naturalnie, nic nie mógł na nie poradzić, ależ skąd... Zakłócenie w pracy ciała, przemijające złe samopoczucie, wyczerpanie, tak powiedział także lekarz; bo kiedy krótko po pierwszym „ataku” zawroty głowy pojawiły się po raz drugi, co więcej, po raz trzeci, i przy jednej takiej okazji musiał w południe wrócić z miasta do domu autem, gdyż zaskoczyły go w trakcie spaceru, a przecież był w pogodnym nastroju, Kőmives poszedł do lekarza i wtedy został poddany wielu różnym badaniom. Ale potem go uspokojono, że „nie ma żadnego problemu narządowego”, jego serce jest zdrowe – u niego w rodzinie krewni ze strony zarówno ojca, jak i matki osiągnęli szacowny wiek – i zawsze żył, zachowując umiar; wszystko to tylko nerwowość, wyczerpanie. Ta diagnoza i porada lekarska uspokoiły go zatem. Od kilku miesięcy ostrożniej obchodził się z nikotyną – palenie było jego jedyną namiętnością, poważnym nałogiem, z którego nie umiał albo też nie chciał zrezygno-

wać – i rzeczywiście, czuł się nawet lepiej. Tamte drobne błyski, uczucie niewielkiego zdrętwienia, lekkie, trwające sekundy zawroty głowy, które przypominały stan, jakby zaraz miał zemdleć, nie powtórzyły się w ostatnim roku, a przynajmniej nie w sposób tak zdecydowany, tak poniżająco i niedwuznacznie alarmujący, jak wcześniej. Tak, teraz czuł się dużo lepiej. Umiarkowany styl życia, mało cygar i papierosów, mniej pracy, może nieco ruchu, jakiś lekki sport, spacer – od kilku miesięcy rano chodził do pracy piechotą, wieczorem zaś odbywał spacer z biura do domu – wszystko to niewątpliwie pomogło. A tamto poniżające, żenujące uczucie, że teraz stanie się zaraz coś, co... tak, co do niego nie pasuje, jakby miało się coś okazać... tamto uczucie nie powróciło. Niemniej jednak wywołane przez owo uczucie nieprzyjemne wrażenie pozostało gdzieś w nerwach.

Tak, nerwy. W tych czasach wszyscy byli „nerwowy”; Kórnives zaś gardził nerwowością, uważał ją za jakoś niemoralną. Swojej pogardy nie sformułował w taki sposób, lecz myślał, luźno, mgliście, coś takiego, że porządny, uczciwy człowiek nie może być nerwowy – oczywiście, co innego, jeśli ktoś jest obciążony, ma nabytą albo odziedziczoną chorobę nerwową – ale pomijając tego typu przypadki, gardził tym hasłem, tą wymówką, tanią obroną ze strony współczesnej epoki, obroną, za pomocą której tak lekko i powierzchownie eliminowało się skomplikowaną, surową odpowiedzialność. Człowiek jest „chory” albo „zdrowy”; ale w żadnym razie nie jest „nerwowy”; tak uważał, a swego zdania nie taił również w fotelu sędziowskim. Ten nerwowy, lamentujący, z niechęcią i narzekaniem ograniczający własne pragnienia, nieodpowiedzialny świat – jakże on, sędzia, gardził tymi „nowoczesnymi”, nerwowymi małżeństwami, z których mężczyzna i ko-

bieta z taką łatwością uciekali przed jego oblicze! Jak bardzo pogardzał tymi „nerwowymi” przestępcami, którzy usprawiedliwiali się wymyślonymi, pochodzącymi ponoć z czasów młodości ranami i bili się w piersi przed sędzią, że do tego przestępstwa, wbrew ich własnej woli i dobrym zamiarom, zostali popchnięci przez „skłonność” i „nieprzewycięzalny przymus”! Kómives nie wierzył w żaden nieprzewycięzalny przymus. Życie to obowiązek, któremu trzeba uczynić zadość; oczywiście, to ciężki i skomplikowany obowiązek, niekiedy trzeba go wypełnić z samopoświęceniem, jakoś znieść. Tak rozumował. Umiał ludziom współczuć i ich żałować, ale nie umiał ich rozgrzeszyć. Wierzył w wolę; wola jest wszystkim, głosił, wola i dobrowolne posłuszeństwo, a mówiąc łagodniejszymi słowami: tylko pokora, chrześcijańska pokora mogła pomóc miotającemu się człowiekowi przetrwać nieznośne – ale czy to określenie nie było zbyt przesadne, zbyt nowoczesne, zbyt napuszone? – trudne do wytrzymania życiowe kryzysy. Nieznośne? Jeszcze raz rzucił na wagę to słowo. Lubił sprawdzać ciężar słów, przyzwyczaił się, by badać prawdziwy sens słów przypadkowych, rzuconych ot tak, szczególnie zaś sprawdzał słowa „podejrzane”, które w trakcie mówienia bądź też myślenia jakby poza kontrolą samego umysłu wypuszczało na wolność podziemie rozumu. Czy życie jest nieznośne? Kómives nie miał zbyt wysokiego mniemania o cywilizacji, która uwijała się i hałasowała wokół niego, hucząc silnikami i błyskając światłami; znał jej siłę ograniczającą, liczył się z jej cenzurą, nadto považał owo utajnienie, ową unormowaną ochronę, w ramach których człowiek współczesny mógł się skryć razem ze swoimi trzymanymi na wodzy popepdami. Ta cenzura miała oczywiście swoją cenę; ale czy mogło być inaczej? To było jego sprawą, sprawą sędziego,

by popędy buntujące się przeciwko dyscyplinie cywilizacji trzymać na wodzy; sędzia nigdy jeszcze nie miał tego stopnia „powołania”, powołania do ratowania i wychowywania społeczeństwa, jak właśnie w tych niespokojnych czasach; i Kómives całkowicie przeniknął tym uczuciem, starał się mu służyć każdą swą intencją, całą swą wiarą. Dzisiaj chodziło – w przypadku sędziego – o coś więcej niż ukaranie winnego i ochronienie niewinnie pokrzywdzonego! O coś więcej, o całość, o całą cywilizację, o pokój społeczny, o formy, o siłę dających i podtrzymujących życie form, które były teraz plamione i rozrywane tajemniczymi, podejrzanymi rękoma – on w każdym razie pozostanie czujny, na swoim własnym stanowisku! Ale czy ta cywilizacja zasłużyła na taką bezwarunkową obronę? Czy była niewinna, czy nie? Jaką miała jeszcze moralną treść ta poruszana za pomocą motorów, oddająca się rozkoszy cywilizacja? A czy te osobliwe zawroty głowy, te mało ważne zawroty, które nie wynikały, chwała Bogu, z żadnego zakłócenia w pracy ciała, narządów, ten skomplikowany, nieco poniżający bunt nerwów – czy to wszystko nie było w sekretny sposób związane z wątpliwościami, jakie żywił na dnie duszy, z wątpliwościami co do ważności panujących form oraz moralnej treści cywilizacji bronionej za wszelką cenę? Z pytaniami, które Kómives głośno i zdecydowanie odrzuciłby z podwyższenia, gdzie zasiadał sędzia – z nadzwyczaj „nowoczesnymi” pytaniami, które tajemne głębiny duszy od czasu do czasu wyrzucały z siebie na powierzchnię niczym bąble, z pytaniami, na które Kómives udzielał odpowiedzi jedynie z trudem, z oporem. On sam też już nie wierzył w społeczną idyllę. Społeczeństwo poszukiwało nowych form życia; a jego sprawą, sprawą sędziego było mieć baczenie na tych, którzy albo świadomie, albo wprowadzeni

w błąd, albo też ze słabości, tchórzostwa, z niepewności po stronie nerwów bądź charakteru buntowali się przeciwko cenzurze starego społeczeństwa.

Był jeszcze młodym człowiekiem; i jak posturą ciała dopasował się do swojej profesji, do swojego powołania, tak samo ukształtował sobie jakąś duchową formę, wewnątrz której mógł się ulokować z własnymi przekonaniami i wątpliwościami. Swe przekonania gruntownie przebadał i mówił o nich głośno. Do niego należało to, by ocalać, zachowywać; budowanie zaś, z przynależną mu straszliwą odpowiedzialnością, trzeba było zdać na innych. Z tymi swoimi wątpliwościami pozostał we własnym świecie, w świecie rodziny i urzędu, sam. Nikt nie mógł go oskarżyć o wygodnictwo lub tchórzostwo, wymogom i żądaniom ze strony profesji, państwa, społeczeństwa nie poddał się bez postawienia warunków – Kómvives nie spuścił głowy, lecz starał się konfrontować z własnymi wątpliwościami. Przenikało go silne poczucie własnej niezależności oraz wynikającej z zajmowanego urzędu wyższości, z całą jednak wiążącą się z nimi odpowiedzialnością. Musiał sądzić surowo i zgodnie z literą prawa, w duchu prawa – i czasem, gdy przychodziło mu spojrzeć w czeluść, w odmęty czasu, miał wrażenie, że prawo pozostało w tyle za czasem; prawo nie przewidywało z góry tego rozpadu, tego pustynnego samumu, który unosił i zmiatał wszystko, co niegdyś stanowiło fundament – w swej bezlitosnej konsekwencji prawo wydawało się niekiedy słabe i bezsilne wobec samowoli czasu. On, sędzia, zmuszony był literę prawa wypełniać nowoczesną treścią; za każdym procesem o błażostkę szczyrzyła zęby, strojąc przeraźliwe grymasy, „całość”, a pokolenie, które przemawiało o budowaniu, obiema rękami grzebało w gruzach ruin; i teraz stań tam i sądz! – myślał czasem.

Jednak stawał tam i sądził według swojej najlepszej wiary, w duchu prawa, nienagannie. Co za profesja! – myślał czasem, zmęczony. Ale jednocześnie podnosił głowę i z dumą mówił: tak, co za profesja! – jak obciążająca i jak podniosła, jak nadludzka i jak bardzo godna człowieka! Czy tak samo czuł wokół niego także ten „aparat”, ta wielka machina sprawiedliwości, od której nikt nie znał lepszej, a w której ludzie byli jedynie niewielkimi, wrażliwymi elementami? Wśród starszych sędziów, pod których okiem się wychowywał, spotkał wielu, którzy byli przeniknięci tą nowoczesną odpowiedzialnością; którzy wiedzieli, że teraz chodzi o „całość” – tak, poza literą prawa, poza ideą „prawdy”, rzecz idzie o zneutralizowanie jakiegoś praktycznego i uchwytneho zagrożenia. Trzeba uratować społeczeństwo, nie tylko formy, lecz także samą treść, ludzi z krwi i kości, dusze dzieci i życie dorosłych, a także potrzebne do tego ramy, dwa pokoje z kuchnią albo trzy pokoje z holem, kopertę otrzymywaną przez urzędnika pierwszego dnia miesiąca i kredyt kupca... Czy rozmawiano o tym wewnątrz tego „aparatu”? Rzadko; ale on o tym właśnie myślał, gdy odczytywał wyrok.

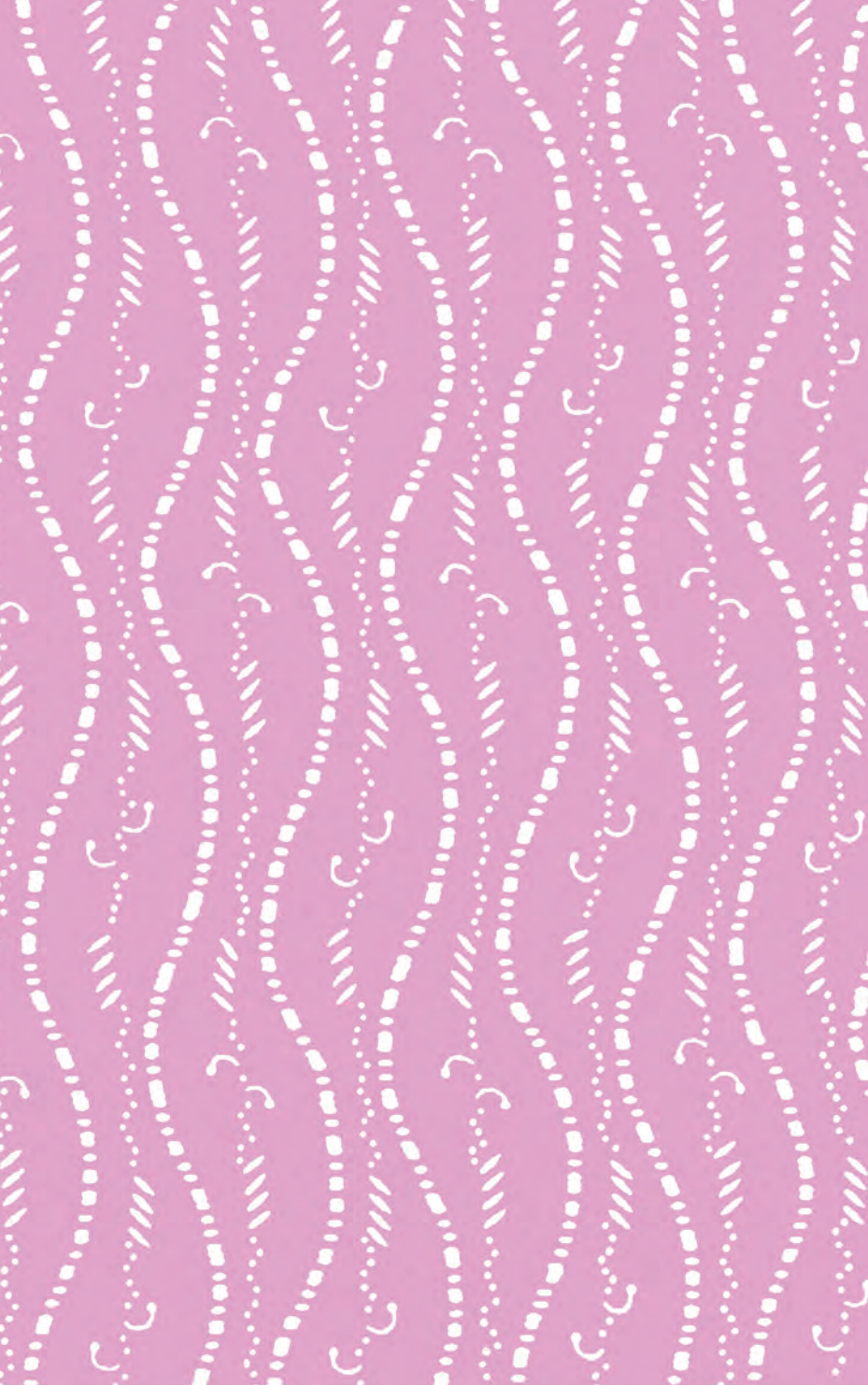
Czy właśnie o tym faktycznie myślał za każdym razem? Przystanął na środku mostu, jak miał w zwyczaju każdego wieczoru, oparł się o poręcz, odsapnął i wzrokiem krótkowidza, mrużąc oczy, patrzył na wizerunek miasta mgliście rysujący się w oparach zachodzącego słońca. Tutaj stało to nowe, wielkie miasto, na lewym brzegu prastarego, przecinającego kraj szlaku wodnego, ze swoimi okazałymi blokami domów, nowoczesnymi, wymalowanymi krzyżującymi kolorami kamienicami czynszowymi o gładkich fasadach, gdzie pomiędzy cienkimi, przepuszczającymi każdy szmer ścianami żyli nerwowi współcześni ludzie, kobiety hodowały kaktusy ulokowane na



niewielkich stojakach, a nad niewygodnymi, obitymi materiałem w paski miejscami do spania i kozetkami stały w szeregu na półkach książki, które starały się naświetlić obraz tego nowego świata – sceptyczne, niepokojące książki, tłumaczące i bezlitośnie nazywające wszystko po imieniu książki, które czasami interesowały również prokuraturę, a na których temat niekiedy i on, sędzia, musiał przedstawić oficjalną opinię. Starał się czytać te książki, a jednocześnie obawiał się z ich powodu o równowagę i ewentualne poniżenie własnej duszy. Tu leżało, na lewym brzegu, to nowe miasto, ze swoimi wielkimi kamieniami i cementowymi guzami, pełne wątpliwości i niespokojnych ludzi, którzy wyciskali pieniądze z kamiennej pustyni i byli przepełnieni „nerwowością”, podnieceniem, popędami trudnymi do utrzymania na wodzy, tak zupełnie inaczej wierzyli i kochali, mówili i milczeli, tak inaczej byli chorzy, zdrowi, szczęśliwi i zrozpaczeni, a koniec końców to on musiał ich sądzić! Czy znał ich, rozumiał w pełni, pojmował ich prawdziwe intencje? Tak obce było to wszystko, ta pstrokato wymalowana, prosta w swych liniach fasada życia! Formy, w jakich przejawiało się to obce, nowoczesne życie, głosiły „obiektywność” – lecz za tą sztuczną obiektywnością czaiły się chaos i wątpliwości, aż po samo dno duszy, wątpliwości w stosunku do wszystkiego, co jest zasadą, prawem pozytywnym, „pryncypium”. Kōmives podparł twarz rękoma i patrzył na to obce i zarazem znajome miasto; to wielkie miasto, „grzeszne” miasto, bezradnie i astmatycznie zasapane w gonitwie za pieniędzmi, radością życia i władzą, miasto, które kapilarami myślenia, mody, nauki, handlu, interesów finansowych stykało się z Zachodem, z zewnętrznym światem; pożyczowało nowe formy, przetrawiało je albo też jedynie źle je trawiło, chodziło trochę jeszcze i w łachma-

nach, a nieco już i zgodnie z najnowszą europejską modą; patrzył na to miasto, a ono zdawało mu się obce. To miasto było wielkie i niezgrabne, niespokojne i nacechowane obcym gustem; każdego poranka, kiedy szedł mostem do swojego urzędu, gdzie musiał osądzać wątpliwości, pragnienia i winy tego miasta, odczuwał bezradne przejęcie, jak kiedyś dawno temu w latach szkolnych, gdy wysiadł z pociągu pośpiesznego na dworcu w stolicy, dokąd ten pociąg przywiózł go z rodzinnego miasta na prowincji, i potem długo jeszcze miał wrażenie, że nie całkiem dokładnie rozumie mowę mieszkańców stolicy. Faktem było, że sam dzisiaj mówił z akcentem z Górnych Węgier; pomyślał o tym i się uśmiechnął.

Potem powoli zwrócił się w kierunku historycznej, okazałej zabudowy prawego brzegu, a na ów widok odczuł niejaką ulgę, jak ktoś, kto wreszcie wrócił do domu. Widok prawego brzegu to była oficjalna przeszłość; jakby przybory liturgiczne, traktowane z dbałością i szacunkiem dobrze zachowane ruiny pod kloszem krystalicznie czystych promieni jesiennego słońca. Długo niemal ze wzruszeniem patrzył na panoramę Budy; na wrześnie kolory ogrodu zamkowego, na rosnące nad brzegiem rzeki kasztanowce o przywiedłym listowiu, na historyczne budowle, które zachowały i wyrażały coś bardzo cennego i cenionego, co dla niego, Kómivesa, było czymś więcej niż tylko wspomnieniem, tradycją – czuł szczerą intymność, rodzinną radość i szczęście posiadania, gdy przyglądał się szlachetnym fragmentom kościoła koronacyjnego, podpartym wokoło rusztowaniami ze względu na konieczność renowacji, urzędowym gmachom uczeptionym w górze na wzór zamków rycerskich, tej wykutej w kamieniu i miejscami chronionej blachą niczym pancerzem wystawie myśli historycznej; a za nią – cichym i przycupniętym starym



Rozwód w Budzie? To przydarza się tylko innym! – tak węgierski wydawca reklamował znakomitą powieść psychologiczno-społeczną Sándora Máraiego z 1935 r. W jeden z takich rozwodów zostaje uwikłany, w zaskakujący dla siebie sposób, budapeszteński sędzia orzekający w sprawach rozwodowych. Długa nocna rozmowa z dawnym szkolnym kolegą spowoduje go do przewartościowania swego życia.

Bohaterowie *Rozvodu w Budzie* to dojrzały wiekiem, o ustabilizowanej pozycji społecznej patrycjusz z Budy, którzy stają nagle w obliczu życiowego kryzysu. Spozza zewnętrznych form i rekwizytów ich tradycyjnego mieszczańskiego bytowania wyłaniają się – starannie przez lata ukrywane – bolesne urazy, niespełnione marzenia i namiętności... Poczucie fałszu podważa zarówno sens ich dotychczasowego życia jako jednostek, jak też funkcjonowania w społeczeństwie. Zmierzenie się z samym sobą może doprowadzić do odkrycia, co jest dla każdego z nich najważniejsze, dopomóc w odzyskaniu poczucia sensu i uratować ład społeczny. Ale jaka będzie tego cena?

ISBN 978-83-07-03449-2



9 788307 034492

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)

DOSTĘPNA TEŻ JAKO

**E-BOOK**